

Uniwersytet chory na władzę

23 lutego 2021

Przez ostatni, pandemiczny rok pracowałam w obszarze pomocy psychologicznej dla społeczności Uniwersytetu Warszawskiego. Nigdy nie miałam bardziej dojmującego poczucia, że trudności emocjonalne i psychiczne są powodowane mechanizmami instytucji przynajmniej w tym samym stopniu, co czynnikami rodzinnymi i wczesnymi traumami.

W okresie pandemii pojawiło się wiele prognoz dotyczących jej możliwego wpływu na wzrost „zaburzeń psychicznych” w populacji, nawet proponowano nowe jednostki diagnostyczne takie, jak „pandemiczne ostre zaburzenie stresowe”. Część autorów tych wypowiedzi, zwłaszcza na początku roku 2020, zakładało prostą zależność: pandemia, wymóg izolacji, zmiany w codziennym funkcjonowaniu, klimat zagrożenia to gorsze samopoczucie, większe osamotnienie, nasilony lęk. Z czasem zaczęto zauważać pośrednie kółka obrotowe: pandemia to również osłabienie więzi społecznych, sprawdzian dla więzi rodzinnych i zatarty podział między czasem prywatnym a czasem pracy. Moim zdaniem jedną z ważniejszych przyczyn pandemicznego kryzysu psychicznego i głównym źródłem niepokoju jest odsłonięcie mechanizmów władzy warunkujących istnienie instytucji mających zapewniać ochronę zdrowia, wykształcenie i pracę. To łatwo sobie wyobrazić: bezsilność wobec krzywd nadużycia władzy przez obiekty, od których zależy nasze życie, nie sprzyja dobremu samopoczuciu.

Kołokwium z przystosowania

Znaczna grupa zgłoszeń od studentów, z którymi się zetknęłam, dotyczyła rzecz jasna stresu egzaminacyjnego i trudności z zaliczeniami przedmiotów, nie był to jednak ten rodzaj szkolnego lęku przed oceną i byciem ocenianym, jaki wszyscy znamy. Przejście na nauczanie online, poza efektem „powrotu do

domu", o którym pisała Kaja Puto w Krytyce Politycznej, zanikiem życia studenckiego oraz kłopotami technicznymi, oznaczał też w zasadzie nieograniczone rozmnożenie wymagań ze strony wykładowców i zmniejszenie ich czytelności. Jak poprowadzi egzamin wykładowca, który cały semestr spędził offline, rzadko komunikując się ze swoją grupą, i ocknął się w ostatniej chwili, zalewając swoją grupę nieomówionymi tematami na zaliczenie? Ile razy wypada wysłać przypominajkę pani doktor, która od tygodni nie odpowiada na maila z poprawkami do pracy semestralnej? Jak poradzić sobie z profesorem, który obowiązkowy wykład online potraktował jak prywatny występ stand-up'owy i zamęcza swoich słuchaczy, opowiadając anegdotki niezwiązane z tematem zajęć?

Wykładowcy, również rozbici i przemęczeni, nie za bardzo zdawali sobie sprawę, że ich indywidualne style radzenia sobie z obowiązkiem dydaktycznym w nowej sytuacji, z punktu widzenia ich audytorium, razem stworzą koszmarny chaos. W sytuacji niespotykania się z przełożonymi i kolegami, na żywo dyscyplinującymi i przypominającym o „stawkach w grze”, zmuszeni byli własnym sumptem ocalać swoje zawodowe ja w rozpikselowanym świecie ze zrywającymi się połączeniami. To okazywało się ważniejsze niż praktyczne myślenie o stworzeniu drogowskazów i wyznaczeniu kierunków: i dla siebie, i dla pogubionych studentów. W ten oto sposób młodzi ludzie odbyli przedwczesny staż: weszli w buty pracownika korporacji, wrzuconego w niejasną i pogmatwaną sieć zależności od rozmaitych menedżerów ze strategiami przetrwania bazującymi na komunikowaniu swojego kierownictwa bardziej niż na zajmowaniu się czymś, co przypominałoby pracę. Wiadomo, że żeby utrzymać się na powierzchni, trzeba „dowieźć” jakiś wynik, ale jaki, komu i w jaki sposób – to zależy od konfiguracji ról i pozycji w tej właśnie chwili.

Czy wykładowcy świadomie zachowują się jak kapryśne diwy, przekonane, że tylko one są tu solistkami? Oczywiście nie. Najprawdopodobniej nieświadomie realizują habitus, jaki

wymusza na nich instytucja, w której funkcjonują, podobnie jak wspomniani kierownicy w przedsiębiorstwie, a rzeczywistość pandemiczna, odbierając rozmaite obyczajowe akcesoria w teatrze życia codziennego, tylko to obnażyła. Gdyby tę postawę tworzyła zwerbalizowana reguła, to myślę, że brzmiałaby ona: ja i moje punkty kosztem wszystkiego.

Mapa rzeczy na „m”

Aby molestowanie albo mobbing były możliwe, musi zostać spełniony jeden warunek: ofiara musi zostać zobaczona jako słaba, zależna i bez możliwości, aby się sprzeciwić albo zażądać odszkodowania. Sprawcy w naturalny sposób wywodzą się z grupy osób, które są „dobre w punkty”, a najlepiej są w pozycji umożliwiającej ich dystrybucję. Mam na myśli nie tylko punkty za publikacje i całą naukometrię, ale też wszystkie gesty i ukłony, zaangażowania i lojalności zapewniające władzę w lokalnych ośrodkach.

Z perspektywy miejsca, gdzie zgłaszały się osoby ze wszystkich wydziałów, zauważyłam, że każdy z nich ma swoją niepowtarzalną specyfikę pod względem rodzaju nadużyć w relacjach służbowych. Widziane razem, tworzą przerażający krajobraz folwarczny. Na przykład archeologia słynie z wykopalisk, a dokładniej z tego, że w czasie letnich wyjazdów z nimi związanych osoby z grupy wykładowców bez skrępowania wchodzą w relacje intymne z osobami z grupy studentów. Wykładowcy, z którym potem będzie się miało zajęcia i egzamin, trudno odmówić nie tylko z obawy przed rewanżem, w grze jest również lęk przed reakcją grupy rówieśniczej, która może uznać koleżankę z zasadami za niefajną i nieimprezową. Na pewnym wydziale humanistycznym osoby z grupy wykładowców bez poczucia, że robią coś niewłaściwego – skąd, wręcz przeciwnie – „przyjaźnią się” z osobami z grupy studentów, zupełnie nie dostrzegając, że różnica pozycji może stworzyć konflikt interesów przy pierwszej lepszej sytuacji służbowej, takiej jak publikacja, konkurs czy grant. Czy jeśli pani profesor przestanie mnie

lubić, to oceni sprawiedliwie moją pracę albo przyjmie moje zgłoszenie na konferencję? Na kilku wydziałach nauk społecznych osoby uważające blask swojej publicznej osoby za niezawodny afrodyzjak, dokonują regularnego molestowania seksualnego, niekiedy przy okazji pisząc prace naukowe o przemocy albo dyskryminacji. To naprawdę dopiero wierzchołek góry lodowej.

Nadużycia na uniwersytecie to nie tylko wykładowcy i wykładowczynie uwodzący studentów i studentki. Wszędzie w akademii, w tym w jej administracji, pojawiają się te najjaśniejsze gwiazdy, czyli wybitne w swoim mniemaniu jednostki zaabsorbowane komunikowaniem swojej wspaniałości. Najczęściej tworzą one swój dwór, a osoba wchodząca w ich orbitę, musi błyskawicznie rozeznaczyć się, jak się z kim kontaktować w jakich sprawach, żeby przetrwać. Brak zrozumienia niepisanych zasad, niedostosowanie się do nich, spór z głównym poplecznikiem, nie daj boże konfrontacja albo krytyka to być albo nie być nawet dla najlepszych merytorycznie specjalistów. Bardzo często gdy pracownicy orientują się, że w cenie nie są ich umiejętności zawodowe, lecz łaska albo niełaska gwiazdy, załamują się, bo wydaje im się, że już jest za późno, żeby zmienić ścieżkę zawodową. Przejścia przez taki kryzys nie ułatwia etos pracy na uniwersytecie, podtrzymywany przez osoby z zewnątrz niemające pojęcia, że w rzeczywistości chodzi o etos feudalny, a nie merytokratyczny.

Co się działo z ofiarami w pandemii? Sytuacji przekraczania granic było chyba mniej, siłą rzeczy trudniej jest nadużywać kogoś emocjonalnie czy fizycznie, gdy nie ma się z nim bezpośredniego kontaktu, a w internecie zostają ślady, więc bezkarność jest mniejsza. Pamięć traumy nie zacierza się niestety, gdy sprawcy nie spotyka się już na korytarzu albo jest on oddzielony ekranem. Mechanizmy takie jak stres pourazowy sprawiają, że nawet pojedyncze, niezauważalne dla sprawcy naruszenie granic odciska neurologiczne piętno na

zawsze i nieodwracalnie wpływa u osoby poszkodowanej na jakość relacji i zaufania w późniejszych sytuacjach. Po fakcie do głosu dochodzą flashbacki, wspomnienia, poczucie winy, poczucie całkowitej samotności, ruminacje o tym, dlaczego „wykorzystał i zostawił”, dlaczego „zostałem pominięty, skoro jestem dobry”. Konsultowałam osoby, które się cięły i przeżywały ataki paniki, gdy w pandemicznej izolacji docierało do nich, co się stało.

To ogromnie ważne: traumę tworzy nie tylko samo zdarzenie, ale też to, że nie można o nim opowiedzieć. Ale jak powiedzieć o naruszeniu ze strony powszechnie lubianego wykładowcy, cenionego badacza albo kogoś, od którego niemal jednoosobowo zależy moje życie zawodowe? Ze strony mobberów i molestujących często pada argument, że w relację z nimi świadomie zaangażowały się pełnoletnie osoby. Niestety na uniwersytecie to nie pełnoletność jest wyznacznikiem równej relacji i świadomej zgody, ale ilość kapitału „punktowego”, a nadużycia nie dokonują się nigdy między osobami o podobnej pozycji. Osoby ocenione przez tych u władzy jako te bez znaczenia i wpływów muszą siedzieć cicho. I tak to się kręci.

Regulatorze, wyreguluj się sam

Na uniwersytecie działają jednostki powołane do tego, aby pomagać w trudnych sytuacjach, również takich, o których tu piszę. Paradoks polega na tym, że jako część akademii również podlegają jej mechanizmom dominacji i niepisanemu dyktatowi posiadaczy kapitału „punktowego”. I Centrum Pomocy Psychologicznej, w którym pracowałam, i urząd Rzecznika Akademickiego i Biuro ds Osób Niepełnosprawnych nie mogą działać jak nie-uniwersytet, choć przez chwilę sądziłam, że jest to możliwe. Z do niedawna mojego podwórka mogę stwierdzić, że zakomunikowanie potrzeb niezwiązanych z grą w punkty do osób decyzyjnych pochłoniętych rozgrywką władzy są misją niemożliwą: polegåłam w walce o zastąpienie systemu rejestracji dla fryzjerów i kosmetyczek takim, który umoŹliwia

przechowywanie danych wrażliwych, albo o dodatkowy kawałek etatu podczas drugiej fali pandemii, która zbiegła się z końcem semestru. Coś, co może realnie pomóc, ale nie służy generowaniu punktów, nie jest żadnym priorytetem: nagle piętrzą się ad hoc wymyślane przeszkody biurokratyczne albo padają stwierdzenia, że zamieszanie jest cechą definicyjną uniwersytetu i nie da się tego zmienić – najwyżej można się nauczyć w nim sprytnie odnajdywać. Sęk w tym, że psychoterapii, o ile nie ma być ona atrapą pomocy, nie da się uprawiać w mętnych warunkach.

Ponadto psychologowie pomagają nazwać i zrozumieć skrzywdzenie oraz uregulować emocje z nim związane, ale z uwagi na tajemnicę zawodową nie mogą zgłaszać przypadków nadużyć. To może zrobić wyłącznie poszkodowana osoba, która najczęściej tkwi w zależności od sprawcy i podtrzymującego go otoczenia, więc milczy. Jeśli się mimo wszystko zdecyduje, prawdopodobnie zetknie się z tym, że rzecznik akademicki proponuje mediacje – tylko o czym można mediuować ze sprawcą przemocy, krzywdy lub poniżenia? Podpowiem: na pewno nie o odszkodowaniu ani o naruszaniu prawa. Do tego osoby pracujące w biurze Rzecznika najwyraźniej nie odrobiły lekcji z kontaktu z osobami pokrzywdzonymi, więc potrafią wygłaszać komentarze sugerujące, że załamana osoba jest „chora”, w sensie: niezdolna do racjonalnego prowadzenia rozmów i negocjacji. Biuro ds. Osób Niepełnosprawnych przyznające ulgi studentom z uwagi na wiele rodzajów dolegliwości jest przeładowane zgłoszeniami, a pracujące tam osoby są na granicy wyczerpania. Przy Biurze funkcjonuje dyżur lekarza psychiatry, co oczywiście jest wspaniałą możliwością, niestety na wizytę trzeba czekać wiele tygodni – nieciekawa perspektywa w przypadku nagłego kryzysu i myśli samobójczych.

Wszystko to skłania do wniosku, że prawdopodobnie nikomu nie zależy na tym, aby pomoc realnie działała, bo gdyby zaistniały warunki, aby uzdrowić nadużycia władzy, podmyłoby to same podwaliny uniwersytetu. Osoby ze wspomnianych miejsc, które

pomagają setkom osób, w większości gaszą pożary spowodowane przez samą uczelnię. Czyli chcąc nie chcąc, utrzymują chory status quo, a do tego są traktowane jak kwiatek do kożucha grantozo-punktozy, który ładnie wygląda, daje pozór ucywilizowania, ale nigdy nie zostanie potraktowany poważnie.

I jeszcze jedna rzecz: gdy tylko na poziomie władz centralnych zostanie podjęta inicjatywa na rzecz dobrostanu osób z uczelni, od razu zlatują się zbieracze punktów, sądząc że deklaratywne zaangażowanie w takie działania pomoże im we wzmocnieniu ich pozycji. W ten sposób może się zdarzyć, że o organizacji pomocy dla cierpiących lub poszkodowanych, decydują ludzie, których z pewnością nie motywuje chęć pomocy komukolwiek, a nawet w głębi duszy pogardzają osobami przegrywającymi w grze w akademię. Czy to się może zmienić? Dopóki uniwersytet będzie instytucją dworską – nie.

Autorstwo: Joanna Stryjczyk

Źródło: Lewica.pl

0 autorce

Joanna Stryjczyk – dr nauk humanistycznych (Instytut Kultury Polskiej UW), psycholożka i psychoterapeutka psychodynamiczna. Prowadzi prywatną praktykę we współpracy z ośrodkami pomocowymi w Warszawie.